

Sześć dni

– 1 –

Sanatoryjne romanse, ulotne i pozbawione sensu, niewpływające ani na duszę, ani na serce – wszystko to nie było dla niej. W każdym razie już nie teraz, gdy cierpienie po bolesnym rozwodzie dręczyło ją koszmarnymi snami, snami, w których były mąż, prześladowca, próbował ją rozjechać czarnym BMW (gdy uciekała przed nim po ciemnych nocnych zaułkach jakiegoś starożytnego miasta) albo pojawiał się jako latający smok ziejący płomieniami, żądny jej krwi.

„Dość! Pora odpocząć i zapomnieć o wszystkim, gdyż jak tak dalej pójdzie, niedługo znajdę się u psychuszki, a wtedy – zegnaj tańcu! Bo komu potrzebna będzie ponura tancerka ze zwichrowaną psychiką?” – postanowiła.

Teraz, gdy – jak jej się zdaje – wszystko w życiu się zatrzymało i w duszy ostały się ledwie rozpacz z tęsknotą, Beata zaczęła wspominać dawne czasy, ów biedny, ale jakże szczęśliwy okres życia, gdy była szczuplutką i młodą baletnicą w prowincjonalnym teatryku, a profesor maitre, chwając ją, mówił: „Przed tobą, Betko, wielka

przyszłość... kiedyś zatańczysz w Teatrze Maryjskim i na pewno w «Jeziorze łabędzim». I być może dlatego całymi godzinami repetowała partię czarnego łabędzia (czarnego, bo jej bohaterka mogłaby być tylko czarnym łabędziem, żadnym innym), zostając samotnie w pustej sali z wielkim – na całą ścianę – lustrem. Powtarzała do skrajnego wycieńczenia, a wracając do domu, po północy, wprawdzie konała ze zmęczenia, ale szczęśliwa.

I pewnego dnia – rzeczywiście – marzenia, dzięki wstawiennictwu wpływowego męża, menedżera i lobbyisty, prawie się ziściły. Trafiła wprawdzie nie do Saint Petersburga, a do Teatru Baletu i Opery w Odessie (jej mąż prowadził w tym mieście rozliczne interesy) i w dzień swej trzydziestki zatańczyła jako druga dublerka w drugim zestawie artystów „od jeziora” – jak chichotały za jej plecami drwiące baleriny. W tym czasie za to ona – Beta – mogła poszczycić się tym, czym żadna z tych zawistnych panien jej nie dorównywała: żadna nie była żoną biznesmena działającego na międzynarodowych rynkach, wpływowego lobbyisty i mentora. Żadna nie była żoną choćby kogokolwiek!

Skarcił ją, gdy rzuciła Odessę, nieoczekiwanie przystając na propozycję złożoną przez kolegę z dawnych lat – Bartusa. Została tancerką kabaretową w najbardziej prestiżowym nocnym barze w Polsce: warszawskim „Delite Club”! Sam Bartus ze swoją figurą atlety i nietuzinkową męską aparycją przygrywał jej na skrzypcach. Ale nie był dla niej kimś więcej niż tuzinkowym przyjacielem, i nie zamierzał być. To, co między nimi kiedyś było, minęło bezpowrotnie i żadne nie próbowało do

tego wracać. Zresztą, wkrótce także i mąż – początkowo podejrzliwie zazdrosny i zawistny – zaczął nawet czerpać profity z nowej pracy małżonki i jej grajka, a już szczególnie, gdy dzięki ich estradowym koneksjom pojawiali się w jego kręgach pożyteczni ludzie z ciekawymi kontaktami w biznesie i interesującym kapitałem. Tak więc, po początkowym zniesmaczeniu, teraz zaciskał zęby i najwyżej co jakiś czas rzucał coś ironicznego pod adresem jej nowej roboty.

*

Tak było jeszcze wczoraj... A dziś?

Dziś jest już po czterdziestce, ale nadal wygląda dość młodo i – co najważniejsze – wygląda tak, jak powinna wyglądać tancerka kabaretowa: tajemnicza, romantyczna, temperamentna baletnica...

Minął już rok, jak rozstała się z mężem – nudnym i bezdusznym samcem, który poza interesami i drogim alkoholem niewiele więcej w życiu zauważał. Minął już rok, jak leżące w nocnej szafce świadectwo rozwodu przypominało jej o nabytym prawie do samotności; ale cóż z tego, skoro na horyzoncie nie pojawiała się nic: ani nowa miłość, ani nadzieja.

Pewnego chłodnego grudniowego wieczora, gdy Beata z przerażeniem pomyślała, że już za chwilę znów przyjdzie jej wyłączyć nocną lampkę i w ciemnościach, których bała się od dzieciństwa, samotnie zasypiać, nie wiedząc, jaki tej nocy będzie dręczył ją koszmar – zadzwonił telefon. Dzwoniła Agnieszka, jej najwierniejsza przyjaciółka.

– Hej, ty ciągle jeszcze w tej swojej depresji? – zaszczębiotał radosny głos Agnieszki. – To obudź się! Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia: skierowanie na promocyjny tygodniowy pobyt w pólśanatorium, i to od jutra! Wygrałam na loterii, ale szef nie zgadza się na urlop. Sanatorium „Kukułki” nieopodal Dworu Kombornia w Rzeszowskiem – możesz sobie wyobrazić? Krótko mówiąc, zbieraj się, a ja z samego rana podrzucę ci voucher.

Było jej wszystko jedno, co ze sobą zrobić, była gotowa pojechać choćby i na koniec świata. „Rzeszowskie? Cemu nie?... «Kukułki»? Może być. A i chyba Kasia z «Kuriera» gdzieś stacjonuje w pobliżu? Może spychną jakieś spotkanie?”... Nie zastanawiała się ani sekundy.

*

Kombornia – jak stwierdziła – to naprawdę całkiem miłe czterogwiazdkowe SPA. Tylko spojrzała na podjazd, tak przy okazji, z ciekawości, w drodze do sąsiednich „Kukułek”. Sama nawet nie wie, dlaczego. Może dlatego, że z daleka widoczne malownicze, ze smakiem skomponowane bryły zabudowań żywo przypominały jej wiejskie dwory stylizowane na włoskie wille, tak bardzo przez nią ukochane?... Kiedyś Marek taką miał jej kupić. Obiecywał...

Limuzyny na parkingu, przy których jej sześćioletnia corsa sprawiała wrażenie podrzutka (nomen omen – z kukułczego gniazda), dobitnie świadczyły, kim jest i kim bywa klientela Komborni. Gdyby wciąż była z Markiem – na pewno to nie tam, a tutaj czekałby na

nią dwuizbowy apartament z jacuzzi, tarasem i widokiem na jezioro, ale cóż... romantyczny pałacyk, uroczy park i małe pobliskie dziewicze rozlewiska – tym razem nie dla niej.

Równy dwa kilometry od parkingu, przy jednym z identycznych dzikich jezior, znajdowało się sanatorium „Kukułki”. Też uroczo położone, choć nie tak szykowne – ani z zewnątrz, ani tym bardziej od środka. Na przysanatoryjny parking dojechała w kilka minut. Zdecydowanie inne stały na nim „limuzyny”. Zwyczajne, swojskie. Mała corsa doskonale wkomponowała się w ich grono.

– 2 –

Już pierwszego dnia dyrekcja sanatorium zorganizowała dla „promocyjnych” kuracjuszy taneczny wieczorek zapoznawczy. Boże, ależ to był freak show! Tlenione blondynki daleko po czterdziestce (na widok których leniwie ziewnęła) na wyścigi łowiły przyjezdnych lowelasów, rzecz jasna głównie tych, co przypadkowo napatoczyli się z Dworku. Już miała się odwrócić na pięcie i odejść, gdy nagle w odległym kąciku, nieopodal szatni, zauważyła intrygującą postać. Po kilku chwilach złapała się na tym, że nie może oderwać od niej oczu, że ona – Beata – przesywa wzrokiem tę „zjawę” już prawie pięć minut i chyba dłużej naprawdę nie przystoi... Z tym krótkim blond zarostem, z tymi jasnymi oczyma koloru północnego nieba schodzącego do jeziora, postać ta, którą okazał się być

pewien dojrzały mężczyzna, wyglądała jak... jak mnich. Możliwe, żeby ona – Beata – skądkolwiek znała jakiegokolwiek mnicha? Chyba nie, w każdym razie nie tego... Coś ją tchnęło i bardzo dokładnie skupiła na mężczyźnie wzrok. „O mój Boże! – po chwili westchnęła ze wzruszeniem. – Przecież to Janusz! Mój Janusz! Co on tutaj robi? Kiedy go ostatni raz widziałam? Już nawet nie pamiętam...”.

Jak starzy po latach niespodziewanie odnalezieni kochankowie – oczywiście, że rzucili się sobie w ramiona. A potem rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali... Janusz naprawdę ostatnio mieszkał w klasztorze, ale na mnicha nie zdążył z zaprzysiężeniem. Ostry ból serca i inne dolegliwości zmusiły go do opuszczenia monasteru. Do sanatorium przyjechał bezpośrednio po pobycie w szpitalu. Liczne rany, które kiedyś zadali mu chuligani (zresztą właśnie wtedy, gdy na kilka dni zamieszkała w jego warszawskiej kawalerce, skrywając się przed zazdrosnym despotą – późniejszym mężem), teraz na nowo dawały o sobie znać w postaci uaktywnionych schorzeń i dolegliwości. Ma czterdzieści trzy lata. Ona – Beata – przypomina sobie, że gdy poznawała Janusza (a więc zanim podjął decyzję o wstąpieniu do klasztoru), pracował jako muzyk, przygrywając na saksofonie w mniej lub bardziej szemranych klubach, ale także nierzadko po prostu na ulicy. Potem źli ludzie zabrali ją od niego, zmusili, aby wróciła do narzeczonego, zostawiając nieszczęsnego chłopaka na pastwę losu.

I nie wiadomo, jak długo znajdowałby się w takim stanie i co jeszcze przykrego mogłoby się zdarzyć w życiu

Janusza, gdyby nie przypadek. Jak ślepej kurze ziarno trafiła się okazja, która całkowicie odmieniła dotychczasowe życie: znalazł w Internecie ogłoszenie o poszukiwaniu chętnych na wyjazd nad jezioro Bajkał. Gdy był małym chłopcem, od zawsze marzył, by pojechać tam i na własne oczy zobaczyć ten największy w świecie akwen kryształowej wody, z otaczającą go dziewiczą florą i fauną. Czy miał się teraz nad czym zastanawiać? Na zamówienie rządu rosyjskiego międzynarodowa grupa ekspertów otrzymała zlecenie zbadania i zinwentaryzowania bogactw przyrodniczych dziewiczych rejonów Syberii. Kierownictwo ekipy poszukiwało specjalistów z różnych branż. Ponieważ znał niezłe rosyjski i komunikatywnie dwa inne języki, zgłosił się i po krótkim interview został zatrudniony. W charakterze pomocnika geodety. Do nowego zawodu – on, z wykształcenia inżynier – przyuczył się szybko. Na tyle skutecznie, że po kilkumiesięcznym pobycie zaproponowano mu dwuletni kontrakt na samodzielnym stanowisku. Przyjął bez zastanowienia. Miał świadomość, że jest to niepowtarzalna szansa – bezpieczna odskocznia od szarej i niepewnej codzienności nie tylko na dziś, ale i całe lata. Z czasem praca ta nadała jego życiu zupełnie nowy sens i niemal mistyczny wymiar. Urzeczony przez czystą naturą, która otaczała zewsząd, zachłyśnięty niepokalanym przez człowieka pięknem dziewiczej przyrody, zrozumiał, że w życiu są cenniejsze wartości nad pieniądze, karierę i... miłość, miłość, która w jego przypadku okazała się tylko źródłem dojmującego bólu i cierpienia. Pewnego gwiazdzistego wieczoru doznał transcendentnego wstrząsu: jego skołatana, samotna dusza i zranione

serce odebrały sygnał wysłany prawdopodobnie od samego Boga. Doznał iluminacji, w wyniku której podjął decyzję o wstąpieniu w szeregi Najwyższego. Po skończonym kontrakcie i po powrocie do Polski wstąpił więc do klasztoru, aby ofiarowując się Bogu, poświęcić całe swe przyszłe życie transcendentalnym medytacjom...

Po pierwszych wzruszeniach, wyznaniach, wspomnieniach – poszli zatańczyć. Na krótko, ledwie jeden, no może dwa tańce. Od czasu, gdy zamknął się w jego życiu pewien rozdział, Janusz nie przepadał za tego typu rozrywką. Dlatego ostatecznie postanowili udać się na spacer wzdłuż rozlewiska, krętą uliczką między sosnami.

Teraz z kolei ona długo opowiadała o sobie, o tym wszystkim, co się w jej życiu zdarzyło od dnia, gdy wyciągnęli ją siłą z jego warszawskiego mieszkania. Mówiła o swoim nieudanym małżeństwie, o licznych męczących podróżach z mężem na Ukrainę, o swoim dwuletnim pobycie w Odessie i nie do końca spełnionych marzeniach baletnicy. O pracy w klubie nocnym, współpracy z Bartusem, o interesach, i w końcu o rozstaniu i bolesnym rozwodzie. Mówiła, nie zauważając, że czyni to od ponad godziny. Janusz, jak przystało na dżentelmena, cierpliwie słuchał, nie przerywając. Od jego jasnych, spokojnych oczu o łagodnym blasku emanowała taka wyrozumiałość, że Beacie aż zakręciło się w głowie... Wreszcie umilkła, spuściła w zmieszaniu oczy i na kilka chwil zapanowała między nimi absolutna cisza. Zdawało się, jakby w jej trakcie otaczający las szumem wysokich jodeł i echem klekoczącego ptactwa obgadywał ich zawite i skomplikowane losy: dziś – cudownie odnalezionych przyjaciół,

wczoraj – byłych kochanków. W końcu przerwał tę ciszę Janusz, wznowiając opowieść o pięknie Północnej Rosji, o nieziemskiej krasie dziewiczej tundry, gdzie od horyzontu po horyzont tężowe zorze znakują przyjezdnym wędrowcom drogę do nieznanych krain...

I ujrzała jego oczyma ten blask na północnym niebie, te bezkresne śniegi. Chciała się przytulić do tego niedoszłego zakonnika-wędrowca, przytulić i płakać... albo go całować. Tak właśnie nazwała go w myślach: „Wędrowiec”. Chciała całować długo, póki wszystkie te żółte i poczerwieniałe ze wstydu liście z nadbrzeżnych klonów nie opadną do rozlewiska, póki nie nadejdą pierwsze śniegi, przykrywając białą czapą wierzchołki sosen stojących ścianą wzdłuż wody. A kiedy w jesiennych zmierzchach pojaśniało i płatki śniegu uleciały do wody, przytuliła się do niego z szarpnięciem i zaczęła... płakać. Nie! Nie godził się na jej łzy. Przyłgął do jej policzków i zaczął je osuszać wargami. A po chwili, już dużo odważniej, przyparł Beatę całym swym ciałem do starej, rozłożystej sosny i pocałował jako pierwszy... Zadrżała... ale wydawało się, nie z zimna. Odwzajemniła jego czułość długim i namiętym pocałunkiem. Potem rozpiął kurtkę, mając dzięki temu możliwość objęcia i Beaty, i konaru sosny. I uczynił to. Tak usidlona, zniewolona w ramionach mężczyzny czuła uderzenia jego serca i czuła, jak kropelki żywicy przylepiały się do jej kurtki, zostawiając klejące ślady, na pamiątkę tego nierealnego, trwającego jakby ponadczasowym wymiarem wieczoru – u nabrzeża cichego rozlewiska.

Sielską scenkę i leśną ciszę przerwał rajd dwóch nadjeżdżających samochodów. W pierwszym – czerwonym

sportowym porsche – siedzący za kierownicą młody mężczyzna w kowbojskim kapeluszu i sportowej kurtce rozmawiał o czymś żywiłowo z towarzyszącą mu elegancką damą. W drugim – podążającym śladem pierwszego – dwóch zapewne zawodowych bodygardów przez otwarte okna uważnym wzrokiem wodziło po obrzeżach uliczki. Na widok tulących się do sosny Janusza i Beaty jeden z ochroniarzy roześmiał się głośno, pozdrawiając miłą parkę okrzykiem „Na zdrowie!”.

– Na zdrowie! – odpowiedział wymuszonym echem nieco speszony Janusz, gdy samochody zniknęły za zakrętem, tuż przed bramą parkingową Komborni.

– Zazdrościny! – krzyknęła za nimi cienkim przesmiewczym głosikiem Beata, z niechęcią oswobadzając się z niewoli Janusza.

Nawet nie zauważyli, jak podczas swej krótkiej wędrówki zaszli pod parking sąsiedzkiego SPA. Tak blisko, że nawet i stąd doskonale widzieli wysiadających z porsche młodych ludzi i dyskretnie podążających za nimi goryli.

– No, no... Czy ty wiesz, kto to był ten młody mężczyzna? – spytała Janusza.

– Nie. Skąd mam wiedzieć? Nie znam go.

– Niejaki doktor Trazom. Jeden z najmłodszych polskich miliarderów. Poznałam go osobiście. Kilka razy był w naszym night-clubie przy Konopnickiej...

– Niezłą masz publikę... Za to kojarzę chyba, kim była kobieta.

– Tak?

– Prezenterka z domu medialnego. Kiedyś oglądałem wywiad, który przeprowadzała z francuskim ekspertem



pracującym w tej samej grupie co ja, przy Bajkale. Gość miał na nazwisko Papillon, był wścibski i kłótlivy i szybko zakończył z nami współpracę; za to, podobno, po powrocie do jego rodzinnego Saint-Tropez wybrali go tam na mera...

– Ciekawe...

– A ta kobitka, ta dziennikarka, miała na imię jakoś: Kama, Kaja, Kati... nie pamiętam.

– Caterina Fille?! Masz chyba rację! – krzyknęła ze zdziwienia Beata. – Że też od razu nie skojarzyłam! Ale żeby oni... tak razem, i tutaj?!

– No, co? Są młodzi, bogaci, chcą się wyszumieć i bawią się... Coś w tym złego?

– Złego? Nic. Tylko zastanawiam się, po co mydlą wszystkim oczy.

– To znaczy?

– On od dawna ponoć podróżuje po Europie: Lazurowe Wybrzeże, Paryż, Rzym, Saint-Tropez... A jego liczni przyjaciele robią klękę panu doktorowi: relacjonują jego ekscesy – co, gdzie, z kim i jak... Ostatnio nawet u Babbickiego na witrynie niejaki Wacław...

– Przestań – przerwał jej Janusz. – Co im będziesz za zdrościć? Młodzi są, to potrzebują się wyszumieć. A że miast na Lazurowym Wybrzeżu imprezują w Komborni, to chyba nawet lepiej, nie uważasz? Patrioci! – I uśmiechnął się ni to żartobliwie, ni to prześmiewczo.

– Imprezują... a ona, Fille, podobno taka nobliwa małżonka, ceniąca wartości, zasady... i sam widzisz, ile warte słowa celebrytów...

Do sanatorium wrócili o drugiej w nocy, drzwi były zamknięte i przyszło im długo dzwonić, dopóki zrzędliva dozorczyni nie wpuściła ich, zapisując, rzecz jasna, nazwiska.

– Co mi tam, niech se pani zapisuje! – Beacie było wszystko jedno.

Usiadł w jej pokoju na fotelu, przy balkonie, ona – na przeciwko. Nie włączali światła. Na stoliku pod dużym lustrem, gdzie stały przywiezione przez nią róże i gdzie powiesiła plakat ze swym zdjęciem, na którym tańczyła flamenco, stał porcelanowy lichtarzyk. Wyjęła z torebki zapalniczkę, zapaliła świecę i umieściła w świeczniku. Przy blasku świec on – „jej były Janusz” – wyglądał takim kruchym i pięknym, jakby żywcem zdjęty z ikon... Aż się złękła i wzdrygnęła z powodu nieoczekiwanego przywidzenia.

W powietrzu jakby zadrżała struna, po której cisza zaczęła wybrzmiewać jeszcze głośniejsze: wszystko, co mogła, ona – Beata – opowiedziała już... A Janusz monotonym wzrokiem wciąż tylko patrzył w płomień świec...

I nagle, jednym płynnym ruchem, zsunęła z siebie wiśniową wieczorową suknię (z obnażonymi plecami, w której zwykła była chodzić na tańce, a na którą w razie potrzeby zarzucała szal i paltko, i już swobodnie mogła iść na spacer, tak jak tego wieczoru) i została w samej haleczce. Na podłodze – szkarłatna kombinacja sukni i cygańskiego szalu, wiszącego jednym końcem u wezglowia łóżka i... odlot dumnej Hiszpanki w furiacki,

zawrotny taniec z uderzeniami serca w takt szalonego flamenco.

– No co, mój panie... kobieta to naprawdę grzech?! – zawołała podczas tańca, prowokacyjnie unosząc trzema palcami jego opuszczony podbródek. – Kochaliśmy się kiedyś, na zatracenie, pamiętasz? Święty Antoni nie może przełknąć guli w gardle? – znów krzyknęła, nie zatrzymując wybijania stopami rytmu flamenco. – Poproś go, może jednak pomoże!

Chciała rozdrażnić tego świętoszka – myśl o tym, że może znów tonąć w jego ramionach, i znów się z nim kochać, upajała ją zupełnie tak samo, jak ów namiętny, metafizyczny, szalony taniec dumnych Hiszpanów.

Janusz wstał od stolika, podszedł do niej, wytrącił ją z rytmu, przytulił. I poczuł bicie jej serca – poczuł, jak dudniło szybkimi pikami, niczym od uderzeń małej zaciśniętej piąstki... Spojrzał w kierunku posłania... Obok nich dwa zestawione ze sobą razem łóżka migotały od blasku świec... Dokąd popłynie ta tratwa smagana jesiennym wiatrem, nawiewanym do pokoju przez otwarty balkon, niosącym zapach sosen i deszczu? Deszcz... Deszcz zaczął lać jak z cebra i wydawało się, teraz już nie przestanie nigdy. Miną lata, a on wciąż będzie lał i lał, a Beata – będzie tonąć w ramionach Janusza, patrzeć w błękitne oczy, w to lico ździebko wyobcowane, jakby przeniesione do innych czasów i widzące coś, co nie było dostępne dla niej samej, ale o czym przez całe życie w tajemnicy marzyła. Patrzeć w twarz przeniesioną jakby z innych czasów – w twarz Janusza Wędrowca. Uwielbia to. Wydawało jej się, że jego twarz jest teraz podobna do

fizjonomii pioniera dalekich wypraw, może nawet i samego Kolumba, bo, niewątpliwie, coś musi w niej być i coś jest tajemnego rodem z dawno minionych epok.

I tratwa ruszyła. Rozpoczęło się szalone pływanie, te fale, które niosły po wzburzonym morzu, te odmęty głębiny rzucające ich to w gorączkę, to poza obszar świadomości. Przerzywały je ledwie sekundy zapomnienia, gdy zamierał czas, zanikała przestrzeń, a potem... potem znów obszar tratwy i morza rozbłyskiwał oślepiającymi gwiazdnymi fajerwerkami... Jako kobieta nigdy wcześniej czegoś podobnego nie doświadczała. Nawet wtedy, przed laty, gdy kochała się z ledwie upierzonym Januszkiem w jego mieszkaniu w Warszawie. A już jej niegdyśjszy, dawno zrutynizowany seks z mężem – przy tym, czego doznaje teraz – był pyłem, grosiwem, niczym...

Rano, gdy się obudziła, Janusza już nie było. „Ot, i tak, mój zakonniku, tak, tak... co ja z tobą zrobię?” – przemknęło przez jej umysł w tym samym momencie, gdy z otwartych drzwi pokazały się na początku... sosnowe gałązki, a następnie – termos z gorącą kawą, na tacce kanapeczki i wreszcie... szczęśliwe oczy Janusza. Wstała im na spotkanie – tym oczom – a Janusz, urzeczony pewno jej porannym widokiem, zatrzymał się...

Różowo-mleczne jej ciało – jakby ożywione i jakimś cudem przeniesione tutaj, do tej izby, prosto z obrazów Rafaela – długie, spływające z ramion i lekko splątane kasztanowe włosy – wszystko to, na tle ciemnego sosnowego, tonącego w deszczu lasu, podświetlonego siępiącym bezdźwięcznie porannym deszczykiem i mgłą za szybami balkonu – świeciło w niej jak w płomyku

świecy, której obrazek tak głęboko kontemplował dzisiejszej nocy... Wziął Beatę na ręce, przeniósł na łóżko... Tratwa odbiła od brzegów ponownie.

– Janusz, tak bardzo cię kocham!...

– 4 –

Doktor Trazom odprowadził Caterinę do samego pokoju. Na pożegnanie zrobili żółwika, uśmiechnął się do niej pogodnie i wołając „Do jutra!”, zbiegł szybciotko z powrotem, skacząc po schodach jak młody kocur, do gości bawiących się w nocnym klubie.

Caterina miała dość wrażeń jak na jeden dzień. A i wymówka o bolącej głowie tyleż była naciągana, co autentyczna. Głowa chyba trochę rzeczywiście bolała. A może tylko niedospany umysł domagał się odpoczynku? Najważniejsze, że dzięki tak prostemu fortelowi skutecznie wyswobodziła się z „niewoli” kolejnych zagrafikowanych imprezowiczów Patryka Trazoma, ale też i przygodnego tu towarzystwa. Obiecała Patrykowi, że do czasu, nim zorganizuje mu biuro marketingowo-prawne, będzie pomagała mu w organizowaniu i zarządzaniu jego prywatnymi i zawodowymi projektami. Takimi choćby, jak dzisiejszy zjazd najlepszych europejskich PR-owców w Komborni.

Tak w ogóle, ona – Caterina – jasne, że uwielbia zabawy, nieźle znosi głośną muzykę i imprezowanie do rana. Gdy jednak następnego dnia czeka ją znów podróż do Warszawy, gdy od szóstej rano zaczną odzywać

się pierwsze telefony, natłuszcza się ikonki nieodebranych emaili z wykrzyknikami – wtedy chęć do imprezowania znika samoistnie, jakby za dotknięciem czyjeś ukrytej czarodziejskiej różdżki. Ci, którzy dobrze znają Caterinę – dobrze znają tę różdżkę. To ona sama: odpowiedzialny, zorganizowany menedżer, kochająca żona, mądra, dobra matka. Ci, którzy ją znają trochę lepiej, mogą o niej opowiedzieć i więcej: lekko szurnięta, zważowana, zaborcza, nieprzewidywalna, a nawet, gdy trzeba, podstępna i uwodzicielska czarodziejka. Ci, którzy znają ją najlepiej, mówią krótko: kobieta bluszcz... A do takich nielicznych osób, którym ów ostatni walor jest najlepiej znany i którzy godzą się funkcjonować z nim na co dzień – należy Janusz Babicki...

Caterina zsunęła apaszkę, zdjęła kamizelkę, rzuciła na łóżko. Pantofel jeden za drugim, po krótkim, niekontrolowanym locie, lądował awanturniczko w przedsiönku. Otworzyła butelkę mineralnej, uszczknęła łyk.

Najważniejsze – kolejny dzień pracy się skończył. Miął. Pouzgadniała harmonogramy, zaplanowała szczegóły najbliższych akcji promocyjnych, ustaliła budżet, sponsorów pomocniczych, a sprawy związane z przeprowadzeniem wywiadu Patryk zgodził się uzgadniać za tydzień. „Jak to dobrze, że jest moim kumplem. Z takimi – zupełnie inna praca”.

Zasiadła do małego stolika, otworzyła laptop. „Nie, nawet nie zerknę do służbowej poczty! Nie mam siły...”. Jej lekko śniade palce przyozdobione kilkoma pierścionkami i oryginalną grawerowaną złotą obrączką szybko zaplęsały po klawiaturze.

„Mój Babicki!

Szkoda że jednak nie przyjechałeś. Czekaliśmy na Ciebie z Patrykiem. On postanowił wesprzeć Twoją inicjatywę odkupienia zasobów monachijskiej biblioteki dotyczących zbiorów pism i dysertacji naukowych Fritza von Bernsteina. Żebyś wiedział, jak bardzo ucieszył się z tego Twego fantastycznego pomysłu...

Szkoda więc, Januszu, że nie ma Cię z nami, że nie ma Cię tutaj... ze mną. Byłaby okazja wreszcie porozmawiać, tak po prostu, nie tylko o interesach... Tak, wiem, nie tłumacz się, Babicki. Przygotowujesz kolejną powieść, szkicujesz kolejne netowiska, Twoja żona suszy Ci głowę i goni do przedsięwziętecznych porządków, a wydawcy i brokerzy zaśmiecają Twe skrzynki ofertami, których nawet nie przeczytawszy, deletujesz w koszyk. Skąd ja to znam, Januszkule? Skąd...

Drogi mój, idą święta. Możemy więc chyba sobie wspólnie pożyczyć, aby każde z nas miało trochę więcej czasu dla siebie, dla swoich bliskich, dla Domu, Rodziny, ale i Ty dla mnie, Babicki. Koniecznie! Bo uwielbiam, gdy znajdujesz dla mnie czas, gdy po pracy wspólnie się wygłupiamy, plotkujemy, układamy intrygi...

Ale, drogi Babicki! Pozwól mi być uwielbianą także i przez Ciebie. (Cyt! Mam nadzieję, że nie przeczyta tego ani Twoja Nata, ani mój Thomas!). Bo takiej nieznośnej hedera helix jak ja twoje uwielbienie potrzebne jest niczym tlen. Zapamiętaj!

Pozdrawiam Cię, mój Ty kochany poeto!

Twoja zawsze oddana Ci menedżerka.

CF

PS.

Przepraszam, że tak późno piszę... Ale bywają noce, w których nie każda kobieta potrafi samotnie zasypiać tylko z własnymi myślami.

Caterina wstała od stolika, zrobiła kilka kroków po pokoju. Zabrała leżącą na łóżku kamizelkę, apaszkę, powiesiła je w szafie.

– Wysłać mu? Czy nie wysłać? – powiedziała do siebie na głos. – A co tam! Wysłałam.

I tak, jak szybko paluszki pląsały, skrybiąc emaila, tak teraz jeden z nich (ten wskazujący) równie szybkim ruchem stuknął w „Enter”.

Poooszło!...

Zrzuciła kieckę, zdjęła bluzkę, poszła do łazienki w samej bieliźnie. „Pora w końcu na lulu...”.

Gdy po kilkunastu minutach wróciła – zauważyła na ekranie migającą zamkniętą kopertkę. Bardzo lubi te małe tłuste prostokąciki w zakładce pod tytułem „Szelma Babicki”. Przykucając ledwie jednym kolaniem na samym kraniuszku krzesła, natychmiast kliknęła w podświetloną linijkę:

„Ma chérie!

Wybacz, nie mogłem przyjechać, powody, jak widzę, znasz dobrze...

Tak się złożyło. Za to Nowy Rok będę witał właśnie w Komborni, razem z moją Natką. Tym razem więc, moja Kasieńko, nasze ścieżki trochę się minęły.

Będziemy z Natą w SPA kilka dni wcześniej. Może więc wpadniecie z Thomasem na jaki lanczyk? Choć wolalbym,

abyś wpadła sama. (Cyt! Mam nadzieję, nie przeczyta tego ani moja Nata, ani Twój Thomas!).

Co do życzeń – ten mój czas dla Ciebie masz jak w banku. Tylko uważaj, bo pobieram odsetki!

Zdrówka, kochana przyjaciółko!

jb

PS.

Cieszy mnie decyzja Patryka.

– 5 –

Sześć dni deszcz lał, jak z cebra, i pachniało sosnami. Sześć dni ona – Beata – i on – Janusz – prawie nie wychodzili z pokoju. Czasami przynosił jej kawę, kanapki i sosnowe gałązki. Sześć dni prawie nie wychodzili z pokoju – a ich tratwa pływała i pływała po morzu, praktycznie prawie w ogóle nie dobijając do brzegu.

I nadszedł dzień siódmy. Deszcz przestał padać. Siedzieli na balkonie.

Ona – z kubkiem kawy w ręce, on – z papierosem, nie zauważając, że wygaś. Oboje milczeli. Czekala na to, co będzie dalej? Poprosi o numer telefonu czy nie? Ale jakieś dziwne uczucie podpowiadało jej, że on – Janusz – nie z tych, którzy byliby w stanie wpisać swój życiorys w boheme jej warszawskiego towarzystwa. Mnich i tancerka kabaretowa?

Ułożone na podłodze torby – wieczny symbol separacji. Jej – do Warszawy, jemu – z pokajaniem, w pokucie za apostazję – klasztor. W końcu otrząsnął się, wstał,

energicznie wkroczył do pokoju, wziął torbę, aby skierować się do drzwi. Wstrzymała oddech. Nagle gwałtownie westchnął i odwróciwszy się, zawrócił, podszedł do niej. Coś mówił. Słyszała go i nie słyszała. Dźwięki dochodziły jak fale zagłuszane biciem jej własnego serca.

– Dasz mi numer? Mogę zadzwonić?

Napisała mu na kartce dziewięć cyfr. Nie podniosła się z krzesła, aby odprowadzić go do drzwi. Stał na progu i z zadumą patrzył w jej twarz. Znała to spojrzenie. Bardzo dobrze znała. Tak samo patrzył na nią mąż, gdy odchodził na dobre. Tak wyglądają każde pożegnania... na zawsze. Nie zauważyła, jak z kubka, który wciąż trzymała w dłoniach, kawa cieniutkim strumieniem wylewała się na posadzkę balkonu.

*

W Warszawie znów wpadła w znane sobie koleiny życia. Znów była wspaniałą „Beatą – Królową Nocy”, panią Beatą, Beatką, Becią, najlepszą kabaretową tancerką stolicy, która w szalonym wirze życia nigdy nie miała czasu, aby wspomnieć sześć dni – sześć dni deszczu, wichrów morza i pachnących sosen.

W styczniu pojawił się w jej życiu Iwan, nowy admira- tor, chłodny biznesmen, a poza wszystkim – śmiesznie to powiedzieć – przystojny jak Iwan Komarenko, ten od „Czarnych oczu” i Tańca z gwiazdami. Jej życie zrobiło się pełne wystawnych kolacji i biznesowych wieczorów, restauracji, zajazdów i drogich sklepów. I razem z Iwanem planowali wyjechać na bożonarodzeniowe święta

do Australii. I właśnie wtedy – tuż przed samym odlotem – zadzwonił telefon. Słabo było słyszeć Janusza, chyba dzwonił z daleka.

– Beata?

– Janusz, to ty?!

– Modliłem się, aby zapomnieć o tobie, ale „twój Wędrowiec” nie chce opuścić mej duszy. Dzwonię z Nowosybirsk, jestem tu przejazdem, wkrótce znów wracam na Syberię. Pojedziesz ze mną? Mogę po ciebie przylecieć...

– Janusz...

Przez kilkanaście sekund nie mogła wydobyć z siebie nawet słowa. Pauza wciąż trwała, a ona wciąż nie była zdolna nawet cicho westchnąć. Znów widziała... północne zorze i jego oczy w kolorze północnego nieba, identycznego z odcieniem jeziora, widziała tak dobrze, jakby cały czas był przy niej, i jakby znów stali przy rozłożystej sośnie, a on obejmował ją razem z drzewem, w strugach deszczu, obok świecącego wieczorną poświatą jeziora.

W końcu ocknęła się, spokojnie i cicho powiedziała:

– Janusz!... Ten czas to było moje najszczęśliwsze, najbardziej krótkie i najbardziej cudowne małżeństwo... Sześć dni przy dźwięku deszczu i zapachu sosen. Ale ono się skończyło. Skończyło, rozumiesz? Żegnaj, kochany... bądź szczęśliwy!

Więcej już nigdy się nie spotkali. Latem Iwan się jej oświadczył.

*

Ale czasami... Czasami bierze merca swego męża i goni, goni, nie patrząc gdzie, gdzieś przed siebie, i zatrzymuje się gdziekolwiek, w jakimś sosnowym lesie, i patrzy, patrzy, patrzy na jasne jak wody jeziora Bajkał niebo... Wygląda stada ptaków lecących na Wschód i zaczyna się modlić do Boga, sama nie wiedząc, dlaczego...

Może z podziękowaniem Stwórcy za sześć dni?